

Konflikty w Rogu Afryki

9 października 2016

W regionie Tsorona (w Erytrei) 12 czerwca 2016 r. jednostki rozpoznawcze etiopskiego wojska, które na krótko przed świtem zapuściły się na terytorium swojego sąsiada, natknęły się na erytrejski patrol. W ciągu kilka chwil na tym odcinku dłużej na kilkadziesiąt kilometrów dawnej linii frontu z czasów wojny między obydwoma krajami (1998-2000) walka rozgorzała na nowo: słychać było kanonadę ciężkiej artylerii, do akcji wkroczyły czołgi, a wymiana ognia trwała prawie 24 godziny.

Asmara potępiła „agresję”, podczas gdy Addis Abeba zachowała wyniosłe milczenie. Trzeba było czekać do 14 lipca, by rzecznik prasowy etiopskiego rządu opublikował buńczuczne oświadczenie, że jego kraj „jest gotów poprowadzić wojnę totalną przeciwko Erytrei”.

Takie groźby wydają się wyolbrzymione, biorąc pod uwagę banalny incydent graniczny, jakich było co najmniej kilkadziesiąt po zawarciu niewygodnego rozejmu w Algierze, podpisanego między obiema stronami w 2000 r. (patrz ramka). Te wojownicze gesty wpisują się jednak w kontekst napięć znacznie głębszych, niż mogłoby się wydawać. 18 czerwca tego roku odbyło się w Waszyngtonie poufne spotkanie, zorganizowane na wniosek etiopskiego rządu, natomiast 21 czerwca w Genewie spotkali się przedstawiciele najróżniejszej etiopskiej opozycji zbrojnej. W Addis Abebie nie istnieje żadna forma opozycji cywilnej, a reżimowi udało się zepchnąć na margines wszystkie dysydenckie ruchy – Etiopski Ludowo-Rewolucyjny Front Demokratyczny (EPRDFR) prezydenta Melesa Zenawiego ma 472 posłów w 527-osobowej Izbie Reprezentantów.

RÓG AFRYKI JAKO KOSTKA RUBIKA

Polityczno-dyplomatyczne zabiegi z czerwca tego roku zbiegają się w czasie z przemieszczeniem wojsk. Od 6 czerwca żołnierze

etiopski są rozmieszczani w okręgu Tadzura i w Republice Dżibuti na mocy porozumienia podpisanego na początku maja z dżibutyjskim prezydentem Ismailem Omarem Guellehem. Szef sztabu dżibutyjskiej armii oświadczył publicznie, że wojska etiopskie mogą w wyniku podpisanej umowy wkraczać na terytorium Dżibuti bez uprzedniej zgody, korzystać z miejscowych instalacji wojskowych, a nawet interweniować w konflikty wewnętrzne niewielkiej republiki. Porozumienie zostało podpisane pośpiesznie po informacji o podpisaniu kontraktu na rozbudowę portu w Berberze między przedsiębiorstwem Dubai Ports World (DPW) – z pominięciem francuskiej grupy Bolloré – a władzami sąsiedniego Somalilandu. W rezultacie wojny lat 1998-2000 Etiopia utraciła dostęp do morza i stała się państwem śródlądowym. W Dżibuti siły etiopskie stawiają czoła wojskom erytrejskim, rozmieszczonym tam od momentu potyczek przygranicznych z 2008 r., gdy Erytrea i Dżibuti starły się o przylądek Dumajra. Dwie armie zaprzestały walk, rozdzielone wąskim kordonem stworzonym przez oddziały katarskie, rozmieszczone tu w czerwcu 2010 r. na wspólny wniosek Asmary i Dżibuti. Oddziały etiopskie stacjonują również w rejonie Danakil, naprzeciw erytrejskiego portu Asab.

Rozszyfrowanie chaotycznego krajobrazu geopolitycznego Rogu Afryki ułatwić może kilka elementów. Po pierwsze, Etiopia żywi dziedziczną z pokolenia na pokolenie obawę, którą można streścić w następujący sposób: „Jesteśmy otoczeni ze wszystkich stron przez arabskich wrogów, którzy mają przyczółek na afrykańskim wybrzeżu pod postacią naszych wrogów z Erytrei”. Tą paranoiczną – lecz zrozumiałą w kontekście długiej historii muzułmańskiego zagrożenia dla starożytnego królestwa Abisynii – wizję potwierdza niedawne oświadczenie Egiptu o zdecydowanym sprzeciwie wobec budowy tamy na Nilu nazwanej Wielkim Etiopskim Odrodzeniem [1]. Aby napełnić zbiornik retencyjny (o pojemności 67 mld m³), potrzeba będzie 7 lat, a w tym czasie przepływ wody w rzece zmniejszy się o 25%. Kair posuwa się nawet do rozważania zniszczenia tamy;

takie było już stanowisko byłego egipskiego prezydenta Husniego Mubaraka. O ile raczej trudno brać pod uwagę, że siły saudyjsko-emirackie miałyby zaatakować Etiopię, o tyle można wyobrazić sobie bez trudu, że siły egipskie, szczególnie lotnictwo, w imię arabskiej solidarności zagrożą nowej bazie w Asab. Idea, że najlepszą formą obrony byłby atak prewencyjny powoli toruje sobie drogę w ścisłych kręgach władzy EPRDFR, które odpowiadają za bezpieczeństwo. Jednakże w takiej sytuacji Etiopia – jedna z największych potęg wojskowych podregionu – musiałaby zmierzyć się z całą koalicją, czy to zbrojnie, czy poprzez finansowe i dyplomatyczne środki odwetowe.

Drugi element łamigłówki: Republika Dżibuti jest od dawna słabym punktem rozgrywki przeciwstawiającej sobie Erytreę i Etiopię [2]. To małe państewko, przedstawiane tradycyjnie jako oaza spokoju w ogarniętym wrzeniem regionie, stało się sceną, na której rozgrywają się wszystkie regionalne ambicje. Na terenie tego niewielkiego kraju istnieje nadal francuska baza wojskowa, relikw epoki kolonialnej, gdzie stacjonuje 2,4 tys. żołnierzy, i który kosztuje Paryż 30 mln euro rocznie. Od 1999 r. również Stany Zjednoczone rozmieściły tu 4 tys. swoich żołnierzy (koszt: 60 mln euro). Ta obecność pozwala Waszyngtonowi wysyłać drony na wybrane cele w Jemenie i Somalii. Japończycy – z kilkuset żołnierzami i dwoma starymi samolotami nadzoru morskiego Lockheed – od 2011 r. ścigają somalijskich piratów. Za 20 mln euro rocznie, armia japońska dysponuje zatem znowu zagraniczną bazą, pierwszą od 1945 r. Natomiast Niemcy i Hiszpanie nie mają tu własnych baz, lecz kilkudziesięciu ich żołnierzy mieszka po prostu w hotelu Kempinski. Wreszcie, na grudzień 2016 r. zapowiedziano otwarcie w okolicy Tadżury (z dala od wojsk zachodnich) chińskiej bazy mogącej pomieścić 5 do 10 tys. żołnierzy. Roczny koszt, na razie nieujawniony, może sięgać od 25 do 85 mln w zależności od tego, czy Pekin zdecyduje się na budowę portu i lotniska. Pierwsze budynki są już w trakcie budowy. Nie chcąc pozostawać w tyle, Moskwa w serii nieformalnych

kontaktów wyraziła chęć dołączenia do tego klubu turystów zbrojnych.

Na niewielkim terytorium Dżibuti (23 tys. km², porównywalnym ze Słowenią) stacjonować będzie wkrótce więcej żołnierzy zagranicznych niż dżibutyjskich. Jednakże czy chodzi tu rzeczywiście o państwo narodowe? „Dżibuti jest nie tyle państwem, ile handlowym miastem-państwem”, oceniał jeden z zachodnich dyplomatów w dokumencie z 2004 r. ujawnionym dzięki WikiLeaks, „i jest kontrolowane przez jednego człowieka Ismaila Omara Guelleh”. Zdobywszy 86,59% głosów w wyborach prezydenckich z 8 kwietnia tego roku, sprawuje niemal całkowitą kontrolę. Polityka militarna jest głównym narzędziem tej dziedzicznej władzy sprawowanej od 1977 r. przez rodzinę Guelleh i klan Mamasan z grupy klanowej Isa. Podobnie jak jego sąsiedzi, Etiopia i Erytrea, Dżibuti jest rządzone przez autorytarny reżim, ostro atakowany przez organizacje broniące praw człowieka [3].

Trzeci element: batalia o porty między państwami podregionu. W Dżibuti życie gospodarcze skupia się wokół portu, który dostarcza 76% PKB. A jego działalność zależy w 80% od klienta etiopskiego, który po wojnie lat 1998-2000 stracił dostęp do erytrejskiego portu Asab. To w takiej sytuacji 8 maja tego roku nieuznawane na arenie międzynarodowej państwo Somaliland [4] podpisało porozumienie handlowe z trzecim światowym operatorem portowym Dubai Ports World (DPW), będącym własnością rządu Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Dzięki porozumieniu port w Berberze ma stać się konkurencją dla portu w Dżibuti. Główny oponent dżibutyjskiego prezydenta, Abderrahman Boreh, który żyje na wygnaniu w Dubaju, pozostaje w bliskich relacjach ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi i to właśnie on skłonił DPW, by zainteresował się Dżibuti. W 2013 r., gdy Dubaj odmówił ekstradycji Boreha, prezydent Guelleh unieważnił koncesję DPW na eksploatację portu i przyznał ją konkurencyjnemu przedsiębiorstwu (w chwili obecnej toczy się postępowanie w tej sprawie przed sądem w Londynie). Spór

zaognił się do tego stopnia, że w kwietniu 2016 r. Dżibuti i Dubaj zerwały relacje dyplomatyczne. Wkroczenie DPW do portu w Berberze w Somalilandzie, z Abderrahmanem Borehem, który kieruje sprawami zza kulisów, wywołała w Dżibuti wybuch paniki. Co prawda Berbera jest starym zaniedbanym portem jeszcze z czasów brytyjskiej kolonii, przez który przechodzi zaledwie 40 tys. kontenerów rocznie w porównaniu z 900 tys. w Dżibuti. Jednakże Etiopia ogłosiła chęć delokalizowania 30% swojego transportu, podczas gdy DPW zamierza zainwestować 400 mln euro, czyli znacznie więcej niż wynosi roczny budżet Somalilandu. Dżibutyjski prezydent pospieszył zatem do Etiopii z propozycją „porozumienia o bezpieczeństwie” pozwalającego etiopskiej armii na swobodne manewry w Dżibuti niczym na terytorium podbitego państwa. Już w 2014 r. Addis Abeba wyraziła wolę „uznawania Etiopii i Republiki Dżibuti jako jednego i tego samego organizmu”. Coś w rodzaju „ograniczonej suwerenności” Dżibuti.

Niepokój dżibutyjskiego dyktatora pogłębiają nieco zbyt rzucające się w oczy manewry jego oponenta Abderrahmana Boreha. I tak Boreh zażądał, by oficjalnie zaproszono go na obchody 25-lecia niepodległości Somalilandu 18 maja tego roku. Zachowując ostrożność, władze nieuznawanej republiki nie zgodziły się na to żądanie, „ponieważ byłoby to równoznaczne z wypowiedzeniem wojny Dżibuti” wyjaśnił pewien somalilandzki oficjel. Napięcia się utrzymują, tym bardziej że Boreh przez swą matkę należy do podklanu Junis Musa z grupy Isa, który 21 grudnia 2015 r. padł ofiarą masakry w centrum Dżibuti – okoliczności ataku są nadal niewyjaśnione, nieznana jest nawet dokładna liczba ofiar. A pamiętać trzeba, że Junis Musa stanowią 60% żołnierzy dżibutyjskiej armii, którzy zostali rozmieszczeni w górach Mabla na północ od Zatoki Tadżura, gdzie mają tłumić rebelię Afarów z Front na rzecz Przywrócenia Jedności i Demokracji (FRUD). Po masakrze z 21 grudnia, ich wola walki spadło do zera.

INTERESY POTĘG ŚWIATOWYCH I REGIONALNYCH

Prezydent Guelleh próbuje sprostać sytuacji, zjednując dla swojej sprawy somalilandzkiego sułtana Abubakara Elmi Wabara, który pozostaje w opozycji do władz swojego „kraj”. Napotyka jednak na skomplikowaną grę wykluczających się sojuszy i zagrożeń: podczas gdy zabiega o wsparcie ze strony Etiopczyków – którzy kontynuują swoje sprawy z DPW w Berberze – musi pertraktować także z arabskimi nieprzyjaciółmi Etiopii, którzy również domagają się zgody na bazę militarną w Dżibuti, by zintensyfikować swoje działania w ogarniętym wojną Jemenie.

Jemeński punkt zapalny jest czwartym elementem układanki. Na wysokości Cieśniny Bab al-Mandab („Bramy łoż” Jemen oddziela od Afryki tylko 300 km. Ogarnięty zawieruchą „arabskiej wiosny” Jemen usunął w 2012 r. swojego prezydenta-dyktatora, Alego Abd Allaha Saliha, który sprawował rządy twardej ręki od 1978 r. Jednakże już na długo przed zrywem z 2011 r. ta prozachodnia dyktatura borykała się nie tylko ze szczególnie aktywnym odłamem dżihadu, al-Kaidą na Półwyspie Arabskim (AKPA), lecz również powstaniem zajdyckim tłącym się w prowincjach Sada i Amran. „Ludowa rewolucja” z 2011 r. otworzyła drzwi obu tym ruchom, których założenia były raczej mało demokratyczne.

Siły zajdyckie zwane powszechnie „husi”, od nazwiska ich przywódcy, kaznodziei Husajna al-Husi, który zginął w walce w 2004 r., wkrótce zajęły stolicę kraju, Sanę, gdzie zawarły sojusz z byłym dyktatorem Salehem. 25 marca 2015 r., Arabia Saudyjska zdecydowała się interweniować na czele koalicji krajów sunnickich [5]. W utożsamianych z szyitami husich dostrzeżono nagle „piątą kolumnę” Teheranu na wybrzeżu Morza Czerwonego, podczas gdy następca Saleha Abd Rabbu Mansur Hadi, wyniesiony został do rangi – mało przekonującej – symbolu demokratycznej odnowy. W ten sposób afrykańscy sąsiedzi zostali wciągnięci w ten arabski wir. Do wybuchu wojny domowej, Jemen był głównym punktem transferu uchodźców – zarówno politycznych, jak i ekonomicznych – z Rogu Afryki, którzy udawali się do Europy.

W kwietniu 2015 r., kilka dni po saudyjskim ataku, prezydent Erytrei Isajas Afewerki podpisał umowę o wszechstronnej współpracy z ar-Rijadem i zbrojną koalicją stworzoną pod szyldem Rady Współpracy Państw Zatoki Perskiej (GCC) [6]. Emiraczczyki wkrótce przybyli do Asab, by zbudować lotnisko, z którego korzystają obecnie saudyjskie bombowce. W szybkim tempie wyremontowano również port. Pierwszy (raczej skromny) kontyngent erytrejskich wojsk udał się na jemeński front, a do współpracy włączył się sudański reżim prezydenta Omara al-Baszira, który również wysłał żołnierzy w zamian za znaczne transfery finansowe z Arabii Saudyjskiej. Asmara wydalila do kraju jemeńskich opozycjonistów przebywających na terytorium Erytrei.

Takie intensywne działania na niwie polityczno-militarnej musiały zaniepokoić Addis Abebę. Dla Etiopii sytuacja, w której jej erytrejski śmiertelny wróg zawiera tak ścisły sojusz z arabskimi potęgami regionu, była alarmująca, tym bardziej, że Waszyngton, pragnąc zrekompensować sunnickiemu światu arabskiemu porozumienie w sprawie programu jądrowego z szyickim Iranem, opowiedział się po stronie koalicji. Dzięki pośrednictwu GCC, Asmara może teraz liczyć na wyrozumiałość Stanów Zjednoczonych, która jest dla niej czymś raczej nowym w sytuacji, gdy kraj oskarżany jest o powszechne łamanie praw człowieka. 8 czerwca 2016 r., Komisja Śledcza ONZ do spraw Erytrei stwierdziła zresztą, że istnieją „poważne podstawy, by sądzić, że od 1991 r. w Erytrei popełnione zostały zbrodnie przeciwko ludzkości, takie jak niewolnictwo, więzienie, tortury, gwałty i morderstwa”. Starając się przypodobać GCC, Waszyngton wdaje się w coraz bardziej wątpliwe historie nie rokujące na porozumienie w regionie. Natomiast w lipcu 2015 r. Emiraczczyki i Saudyjczycy nie zawahali się zaprosić „prezydenta” Somalilandu Ahmeda Mahamouda Silanyo, nieprzyzwyczajonego do takich gestów, ponieważ jego kraj nie jest uznawany. Spotkanie zostało zorganizowane niczym teatr cieni, gdzie każdy aktor doskonale odegrał swoją rolę. Od Silanyo zażądano żołnierzy i zgody na korzystanie z portu w

Berberze, „prezydent” nie powiedział ‘nie’, lecz również nie zrobił niczego więcej, a przywódcy GCC udawali, że wszystko jest w porządku. Honor został uratowany.

Również prezydent Dżibuti zachowuje ostrożność w sprawie Jemenu: poproszony o udostępnienie dżibutyjskiej bazy koalicji GCC (jeszcze jednej!) i o wysłanie wojsk do Jemenu, podobnie jak Silanyo, nie powiedział ani tak, ani nie. Poprzestał w końcu na przyznaniu zgody na lądowanie saudyjskich samolotów transportowych, lecz nie ich samolotom wojskowym. Władze dżibutyjskie i somalilandzkie mogą trwać w konflikcie z powodu portów na Morzu Czerwonym, lecz dzielą ten sam milczący dystans wobec saudyjskiej i emirackiej eskapady w Jemenie.

POLITYKA PAŃSTWA, KTÓREGO NIE MA

Piąty i ostatni element pozwalający zrozumieć regionalną geopolitykę: kwestia somalilandzka. Po 25 latach faktycznego istnienia, oficjalnie Somalilandu nadal nie ma. Nieuznany organizm państwowy nie korzysta z prawie żadnej pomocy zagranicznej i nie należy do żadnej organizacji międzynarodowej. A przecież ma władze, policję (nie uzbrojoną), armię (stosunkowo dobrze wyposażoną), a także uznawany system wymiaru sprawiedliwości. Od 20 lat w kraju panuje pokój. W odróżnieniu od swoich afrykańskich sąsiadów funkcjonuje zgodnie z modelem demokratycznym i przeprowadza regularnie wybory przebiegające w spokojnej atmosferze. Ta zadziwiająca, poddana kwarantannie demokracja [7] wywodzi się z dawnego protektoratu Brytyjskiego Somali. Zdobyła faktyczną niepodległość w wyniku wojny domowej lat 1981-1991, która rozgorzała w Somalii po upadku Siada Barrego. Najpoważniejszym zagrożeniem dla tego ostrożnie – żeby nie powiedzieć trwożliwie – rządzonego, spokojnego kraju jest dyplomatyczna wojna na wyczerpanie oraz zapóźnienie gospodarcze. Pod względem politycznym jednak udało mu się osiągnąć sukces, podczas gdy Somalia pogrąża się coraz bardziej w wewnętrznych konfliktach: to tylko dzięki etiopskim wojskom pod szyldem Unii Afrykańskiej somalijskie władze federalne zdołały w 2006

r. odzyskać Mogadiszu z rąk lokalnych watażków i Unii Sądów Islamskich. Kraj nękany jest terroryzmem, od którego nie stroni islamistyczna milicja al-Szabab, czego przykładem może być chociażby krwawy atak 25 czerwca tego roku na hotel w stolicy kraju. Somaliland z kolei cierpi z powodu kwarantanny, jaką nałożyła na niego „społeczność międzynarodowa”.

Porozumienie z 8 maja 2016 r. z DPW pociąga za sobą przetasowanie kart: ten kruchy „kraj” został wciągnięty na miejscową burzliwą scenę, na której toczy się regionalna „chłodna wojna”. Skutki tego kroku będą rozliczne i mogą mieć potencjalnie destabilizujący wpływ, jako że umowa ta stanowi zagrożenie dla Dżibuti zarówno pod względem gospodarczym, jak i politycznym: ponieważ, chcąc nie chcąc, ten niewielki kraj wszedł w orbitę Zjednoczonych Emiratów Arabskich, co może zakłócić jego stabilność wewnętrzną. Port w Berberze, choćby i zaniedbany, był w rzeczywistości jedynym stałym punktem oparcia gospodarczego dla tego bardzo biednego kraju. Pozostając w rękach Isa Musa, odgałęzienia klanu Habr Awal z Isak, żywił miejscową ludność i zapewniał mu stabilne dochody, które teraz może utracić. Niebezpieczeństwo wojny klanowej, której Somalilandowi udało się ćwierć wieku uniknąć, może obecnie się nasilić.

Somaliland przeżył 10 lat somalijskiej wojny domowej, po której nastąpiła 5-letnia regionalna wojna domowa, i wreszcie 20 lat biedy i międzynarodowego lekceważenia. Czy teraz wyjdzie obronną ręką z nieproporcjonalnego przypływu finansowego oraz wyjdzie z cienia pod względem dyplomatycznym, a nawet wojskowym, którego kluczowe elementy pozostają poza jego kontrolą? W tym niespokojnym regionie to wielki znak zapytania.

Kryzys posiłkuje dodatkowo imperializm wielkich mocarstw: zaprzeczany, zwalczany, zakłócany i przewyższany przez cały szereg mikro-imperializmów, z którymi musi się obecnie układać. Nie oznacza to, że chińska, amerykańska, francuska czy rosyjska potęga przestały się tu liczyć, to znaczy tyle,

że – jak Guliwer zaatakowany przez Liliputów – te olbrzymy posuwają się do przodu mniejszymi krokami, spowalnianymi przez kłopotliwych sojuszników i wrogów. Rozliczni wichrzyciele wykazują się wzmożoną aktywnością, której niedaleko do niebezpiecznych ruchów nadzorujących ich gigantów. Co gorsza, nie muszą się oni obawiać niczego ze strony opinii publicznej, biernej i skupionej raczej na problemach wewnętrznych niż na szerszych kwestiach geopolityki.

Dezorientacja Stanów Zjednoczonych sytuacją w Rogu Afryki jest niemal całkowita. Z wyjątkiem Erytrei i Sudanu (który zrobiłby wiele, by zdjęto zeń ciężar sankcji gospodarczych), wszystkie kraje tego obszaru, są oficjalnie ich „przyjaciółmi”. Egipt robi wszystko, co w jego mocy, by zdusić Braci Muzułmanów, Etiopia pozostaje wiernym sojusznikiem, choć przymilnym wzrokiem spogląda na Pekin, Dżibuti odgrywa rolę satelity całego globalnego kapitalizmu międzynarodowego, gotowe przyjąć samego diabła, jeśli tylko ma on rekomendację Międzynarodowego Funduszu Walutowego, Saudyjczycy i Emiraczczyki dążą się na Waszyngton, lecz nie mają nikogo, kto mógłby go zastąpić. Z kolei Somaliland zabiega o choćby odrobinę litości. Erytrea jest jedynym buntownikiem wśród państw regionu. Jednak jej katastrofalna sytuacja gospodarcza i odpływ młodych ludzi uderzają w nią tak poważnie, że i tak kończy ona w roli petenta przed drzwiami możliwych tego świata.

Waszyngton nie jest w stanie pogodzić wszystkich tych „przyjaciół”, którzy walczą ze sobą bez jego pozwolenia, spiskują przeciwko sobie i realizują swoją politykę, nie zważając na amerykański parasol lub używając go sobie bez pozwolenia. Tak jest w przypadku koalicji GCC, która otrzymała amerykańskie materiały wojskowe o wartości niemal 10 mld dolarów na prowadzenie wojny, na którą Waszyngton patrzy bez entuzjazmu. Stracił również sympatię Addis Abeby, wspomagając Asmarę, i nastawia klientów i sojuszników Stanów Zjednoczonych jednych przeciwko drugim – o ile nie popycha ich w ramiona Chin.

Autorstwo: Gérard Prunier

Źródło: Monde-Diplomatique.pl

PRZYPISY

[1] Czyt. Habib Ayeb, „Qui captera les eaux du Nil?”, „Le Monde diplomatique”, lipiec 2013.

[2] Jean-Louis Péninou, „Un redéploiement stratégique dans la corne de l’Afrique”, „Le Monde diplomatique”, grudzień 2001.

[3] Patrz: ogólnoafrykańskie forum obrońców praw człowieka, www.protectionline.org.

[4] Por. „Jours tranquille au Somaliland”, w „Afrique. Enfer et Eldorado”, „Manière de voir”, nr 143, październik-listopad 2015.

[5] Patrz: Laurent Bonnefoy, „Jemen. Rok dziwnej wojny”, „Le Monde diplomatique”, marzec 2016.

[6] Patrz: „De l’Arabie saoudite aux émirats, les monarchies mirages”, „Manière de voir”, nr 147, czerwiec-lipiec 2016.

[7] Patrz: Robert Wiren, „Somaliland, pays en quarantaine”, Karthala, Paryż 2014.